

TRAGICZNA WOLNOŚĆ

-----  
/część I/

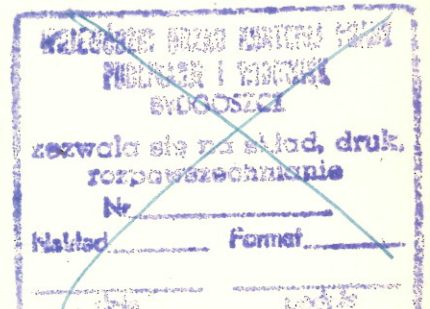
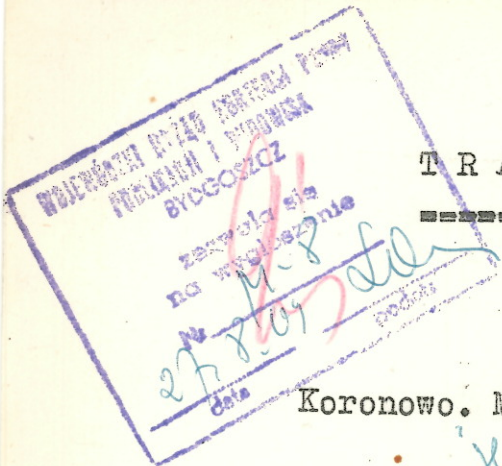
Koronowo. Małe i schludne miasteczko pomorskie położone w dolinie Brdy. Dziś zna go każdy z pięknego zalewu. Tysiące ludzi rok rocznie jeździ tam po wypoczynek i zdrowie.

Ongis - do 1939 roku - Koronowo dla mnie i dla wielu innych w Polsce sanacyjnej nie oznaczało pojęcia "miasteczko". Było synonimem pojęcia "więzienia".

Ludność Koronowa dzieliła się na siedzących w więzieniu i żyjących z więzienia.

W latach trzydziestych Koronowo przeznaczone zostało dla więźniów z wyrokami od pięciu lat i wyżej oraz recydywistów. W tymże czasie rozpoczął się tu masowy napływ transportów więźniów politycznych. Koronowo miało służyć realizacji hasła pana ministra Grabowskiego, głoszącego: "Skończyć z tym, by więzienie stanowiło szkołę komunizmu".

Jako recydywista o wyroku powyżej pięciu lat i jako starosta komuny więźniów politycznych w Zamościu, zakwalifikowany zostałem przez naczelnika więzienia Ręka w k a do rzędu niebezpiecznych i w ten sposób w miesiącu styczniu 1937 roku znalazłem się również



57M

w więzieniu Koronowo. *Jim*

W celi nr 12, obliczonej na osiemnaście miejsc, siedziało nas 62. Zaś w dziesiątym pawilonie, gdzie izolowano mnie w związku z wyborem na delegata celi Nr 12, w celi przeznaczonej dla jednej osoby - siedziało nas czterech.

Przez okno widziało się pocięty kratami skrawek nieba. Gdy się oparło lewą nogę o zawieszona na ścianie łóżko, schwyciło za parapet i dźwignęło wyżej, można było widzieć tuż pod murem okalającym więzienie od strony zachodniej - wijącą się Brdę, na prawo ogrody warzywne oraz kilkaset metrów asfaltowej drogi wybiegającej z za porośniętego rozłożystymi drzewami wzgórza.

W oddali, na wprost, hen poza ogrodami, widziało się komin cegielni. Robił wrażenie pilnującego wyjścia z doliny Brdy na otwarte pola.

Szczególnie lubiłem patrzeć na rzekę. Wyglądała z czwartego piętra jak czarna wstęga. Kiedyś napisałem o niej mydłem na szybie:

Wiatr wieje po dolinie

Rzekę srebrem zlewa,

Brda się wije, co krokminie

I w słońcu olśniewa.

Po Brdzie od wczesnej wiosny do późnej jesieni płynęły tratwy.

Wspinanie się na okno uzasadnione było nie tylko tym, by pod niebem zobaczyć ziemię. Przede wszystkim widziało się włąd jak na dłoni główny dziedziniec więzienia, duży prostokąt zamknięty z jednej strony murem z żelazną bramą i umieszczoną nad nim budką strażniczą, sięgającą wysokości drugiego piętra.

Taką budkę nazywało się "bocianem". Z naszego okna widać było daszek tej budki w postaci niewielkiego stożka.

Przez okno więźniowie przesyłali sobie różne wiadomości, używając do tego tzw. "konie" w postaci kawałka sznurka. Przez okno Komuna rozprawiała pomiędzy towarzyszy produkty żywnościowe. Szyba okienna służyła często za tablicę szkolną. Słowem - okno stanowiło ścieżkę umożliwiającą omijanie zakazów regulaminu więziennego, pozwalało łamać obręcz zaciskającej się izolacji.

Organizacja więźniów politycznych - komuna więzienna - przezwyciężała wszelkie przeszkody stwarzane przez administrację więzienną, i żywe słowo Partii, szybko czy z pewnym opóźnieniem, ale docierało do każdego towarzysza. Wolność pamiętała o nas, gdy była Partia i nie zapomniła po roku 1938 - wówczas, gdy jej zabrakło. Węzeł idei nadal spajał towarzyszy wolą wspólnej walki i trwał mimo

tragicznego przecięcia więzów organizacyjnych.

Katastrofa 1938 roku była dla nas potworna. Trudno było w nią uwierzyć. Toteż każdy z nas czuł się nadal członkiem KPP. Ten moment leżał chyba u podstaw tego, że życie w komunie szło starym trybem: jednolita, bojowa postawa w walce ze wzmagającym się terrorem wobec więźniów politycznych, systematyczna praca nad podniesieniem poziomu politycznego i ideologicznego, napięta uwaga w związku z rozwijającą się sytuacją w kraju i na świecie.

Ocena wydarzeń zachodzących w roku 1938 i na początku 1939 roku dla komunisty nie nastroczała specjalnych trudności: klika sanacyjna leje wodę na młyn hitlerowskiego "Drang nach Osten". Zadaniem komunistów jest walczyć z tą zgubną również dla Polski polityką oraz z tymi, którzy tę politykę reprezentują i prowadzą. W więzieniu oznaczało to praktycznie protestować. Trudności przyszły później.

Hitler postawił sprawę "korytarza". Brunatne hordy z wrzaskiem - heil! - szalały w wolnym mieście Gdańsku. Stało się jasnym, że chodzi o wzmocnienie północnej szczęki kleszczy otaczających Polskę, po czym nastąpi ich zwarcie.

Minister Beck i spółka odrzucają propozycje radzieckie, zmierzające do położenia tamy niemieckiemu militaryzmowi. Hasło - precz z faszyzmem! - jak wczoraj tak i dziś przysparzało mieszkańcom więzieniom i Berezie.

- Silni, zwarci, gotowi - miało równocześnie usprawiedliwić - bij żydo-komunę! Ale tenże rząd proklamował wzmocnienie obronności kraju. Ogłosił zbiórkę na fundusz Obrony Narodowej. W tej sytuacji ograniczenie się tylko do krytyki i protestów, oznaczało przyznanie racji ofiarnej tezie ówczesnych rządców w Polsce, że "komuniści chcą zniweczyć "zwarcie i gotowość". Z drugiej strony ustosunkowanie się bez zastrzeżeń do mocarstwowych haseł, o których wiadomo było, że są bez pokrycia - było by równoznaczne z udziałem w oszustwie.

Mnożyły się wątpliwości - zadawano sobie pytanie - A czy w ogóle komuniści mogą popierać rząd, który rozmawia z nimi tylko językiem defenzywy, więzień i obozów?

- A może uzależnić dalsze postępowanie od uwolnienia więźniów politycznych?

- Od zniesienia ówczesnej konstytucji?

- Od zawarcia sojuszu ze Związkiem Radzieckim?

Rozgorzała namiętna dyskusja w celach i między celami.

Różnymi drogami, krzyżując się wzajemnie, popłynęły grypsy.

Roztrząsano te i dziesiątki innych pytań.

- Tylko rząd robotników i chłopów może skutecznie bronić niepodległości - twierdzili jedni i przedstawiali na dowód cytaty i wypowiedzi różnych autorytetów. - Tu chodzi o wojnę obronną, sprawiedliwą. Naszym zadaniem jest wziąć w niej udział czynny, niezależnie od tego, kto jest teraz przy władzy - odpowiadali inni i dodawali - "ażeby powołać się na klasyków marksizmu - leninizmu to przede wszystkim trzeba ich znać i rozumieć".

- A więc wal głową o mur i strzelaj do faszystów sercem przez wyłom  
- kończył ktoś dyskusję, zamykając w tym tragizm swej bezradności i pełnię rezygnacji.

Gorące spory stąpiły powoli sekciarskie nawarstwienia. Syczały one w zetknięciu z nową rzeczywistością, kruszyły się i odpadały.

Trudne zadanie miał Zarząd Komuny. Czterech jego członków siedziało na dziesiątym pawilonie, a pozostali w celach ogólnych. Należało podjąć ostateczną decyzję. Nie było to takie łatwe i ze względu na szczególnie utrudnione warunki komunikowania się - i - co może najważniejsze - różne zdania członków Zarządu.

Wreszcie zapadła decyzja większością głosów:

- Przekazać wszystkie wartościowe depozyty na FON;
- Zgłosić akces zdolnych do noszenia broni do wojska, a pozostałych do prac związanych bezpośrednio z obronnością kraju.

Celę dzieliłem z towarzyszami Kircunem, Kazikiem Legomskim oraz czwartym - kowalem ze wsi poleskiej - którego nazwisko wyleciało mi już z pamięci.

Za oknem były piękne sierpniowe dni. W celi zaś gorąco i duszno. Widok nieosiągalnej rzeki działał jak chleb, pokazywany głodnemu.

Życie toczyło się zgodnie z planem narzuconym porządkiem więzienia i w ramach tego porządku - planem Komuny. Obok nieustających dyskusji na tematy polityczne studiowaliśmy zagadnienia leninizmu z materiałów pisanych maczkiem na bibułce do papierosów, uczyliśmy się języków obcych, a kowal w ramach likwidacji analfabetyzmu uczył się języka polskiego i rachunków.

Częściej niż dotychczas ryzykowaliśmy wspinaczkę na okno. Przykuwały nas do niego - zwłaszcza w ostatnich dniach sierpnia - zmiany jakie zachodziły w zasięgu naszej obserwacji.

Szosa, po której ongiś nawet w dzień rzadko przebiegał jakiś pojazd, a z zapadnięciem mroku stawała się martwa - ożywiła się nagle.

W nieprzerwane dudnienie ciężko naładowanych wozów i rżenie koni wrzynał się chwilami głuchy pomruk motorów.

W ostatni dzień sierpnia 39 roku na dziedzińcu więziennym ktoś, przy pomocy strażackiej drabiny próbował zakładać zaciemnione światła. Po wkręceniu kilku niebieskich żarówek zrezygnował i niedbale porzucił drabinę pod murem więzienia.

W godzinach popołudniowych poderwało nas na okno żakosne porykiwanie bydła. Tak mogły ryczeć krowy, które na czas nie wróciły do swych obór, a mleko rozpierało im niedojone wymiona.

Wywołało to u mnie z głębokiej pamięci fragment wiersza opisującego najazd Tatarów na Polskę:

- A po zielonej, rosistej łące

Dzwony pływały na gwałt bijące.

Krowy w czarno-białe łaty wciąż napływały zapełniając ogrody między więzieniem a cegielnią. Nikt nie troszczył się o to, by ochronić przed zniszczeniem dojrzałe warzywa. W ryk i beczenie bydła wlewało się nieustanne wycie z cmentarnego zbocza. Na Brdzie kołysały się porzucone tratwy. Umieszczony na jednej z nich szalas od czasu do czasu okazywał pustką ziejącą wewnątrz.



580

A w parku, po zapadnięciu zmroku, jak gdyby nigdy nie orkiestra wojskowa rżnęła skoczne melodie. Tam jeszcze dzwony na gwałt nie biły. A może w ten sposób usiłowano je zagłuszyć? Może służyło to do podniesienia bojowego ducha?

W tym samym czasie na dziedzińcu więziennym formowano jeszcze - kolejną kolumnę więźniów i pod silną eskortą wyprowadzano za bramę. Pierwszym krokiem kolumny towarzyszył suchy trzask <sup>ładowni</sup> załadunkowych karabinów. Jak informowali więźniowie zatrudnieni w administracji, transporty te miały dotrzeć do obozu w Berezie Kartuskiej.

Część II

Do późnych godzin nocnych roztrząsaliśmy zdarzenia ubiegłego dnia. Kazik i kowal ułożyli się do snu. Dla mnie i dla Kircuna plan pracy przewidywał jeszcze na dziś odrobienie lekcji. Po skończeniu zajęć poszliśmy w ślady Kazika i kowala.

Z twardego snu wyrwały nas potężne wybuchy. Zadzwoniły szyby. Momentalnie znaleźliśmy się na oknie. Nowy wybuch i równie szybko przylepiliśmy się do podłogi, odruchowo szukając tam schronienia.

W o j n a !

Zamknięta cela nie pozwalała na żadne działanie. W głowie błysnął tytuł sensacyjnej powieści - "Żywcem pogrzebani". Tak, w tej sytuacji można było oczekiwać tylko takiego losu. Teraz czuliśmy większą niż kiedykolwiek potrzebę, by żyć i walczyć.

Ręce podniosły się do okna i oczy wpiły w ciemność nocy. Przez furtę w bramie biegli na dziedziniec strażnicy, kobiety i dzieci - widocznie rodziny strażników, - i znikali w piwnicach budynków gospodarczego i administracyjnego. Wysoko unosił się przerywany huk samolotów.

Wtem odezwało się charakterystyczne pukanie w ścianę.

Przyłgnałem do niej uchem, systematycznie odpukując na znak, że rozumiem. Starosta wewnętrzny Komuny drogą pośrednią przekazywał: W - o - j - n - a . Z a c h o w a ć s p o k ó j . U n i k a ć w s z e l k i e p r o w o k a c j i . N i e z w ł o c z n i e u d a ć s i ę d o n a c z e l n i k a w i ę z i e n i a z ż a d a n i e m n a t y c h m i a s t o w e g o p r z e - n i e s i e n i a n a s d o p i w n i c .

Powtórzyłem to pozostającym w napięciu towarzyszom. Ktoś krzyknął: - Do piwnic? - nigdy! Tylko za bramę. Mamy wpraszać się tam, gdzie tylekroć wciągano nas siłą? Głos zamikł. W uszach każdego z nas dzwoniła dalej prawda tych słów. Za chwilę wystukiwałem stanowisko naszej celi.

Wstawał świt pierwszego wrześniowego dnia. Więzienie obstawione wojskiem. Na bocianie stoi dwóch żołnierzy. Wychylają się spod stożka bociana i z zainteresowaniem wodzą oczyma po zakratowanych oknach więzienia. I nawiązujemy rozmowę z żołnierzami wepchniętymi na budkę strażniczą, umieszczoną na więziennym murze. Wyrażają ogromne zdziwienie, że siedzą tu jeszcze więźniowie polityczni. - Mówiono im, że tylko szpieczy. Obnażone oszustwo wywołuje u nich zaciekawienie. Wypytyują o wyroki, o warunki w więzieniu, pytają skąd kto pochodzi.

Znikła potrzeba tajnego porozumiewania się, pisanie grypsów, pukania, przemyślnego układania spotkań. Głośne rozmowy krzyżują się na korytarzach i ucho z trudnością może coś z tego wyłowić.

Od samego rana staramy się wywołać klucznika oddziałowego.

Po kilkugodzinnym stukaniu, drzwi się lekko uchylily.

- Domagam się kategorycznie niezwłocznego doprowadzenia mnie do naczelnika więzienia. - W odpowiedzi strażnik bezradnie wzrusza ramionami, patrzy na mnie tak, jak gdyby chciał powiedzieć - o święta naiwności! Krótko rzuca - "naczelnika już nie ma!" Zamyka drzwi i odchodzi, żeby więcej nie wrócić.

Niebawem ściągają żołnierzy z posterunków. Wojsko opuszcza więzienie, a na ich miejsce zjawia się kilku strażników. Żaden z nich nie wchodzi na wyżkę, a tylko stoją przy bramie. Przy każdym ukazaniu się samolotów pośpiesznie znikają.

Słońce wznosi się ku południowi. Na dziedzińcu przed bramą ukazuje się już tylko dwóch strażników. Szosą w kierunku Bydgoszczy, torując sobie z trudnością drogę wśród zwiększającej się wciąż masy cywilów, jadą i idą żołnierze.

- Uciekają!

Nie, nie mówiliśmy tego o wojsku. Mieliśmy na myśli tylko cywilów. Wojsko nie ucieka, wojsko działa planowo. Któż by mógł inaczej pomyśleć pierwszego dnia wojny? Ale tak czy owak, wojsko również opuszczało Koronowo.

Coraz wyraźniej rysuje się ponury obraz naszej sytuacji. Administracja więzienna uciekła. Ci pozostali spośród straży więziennej - dla okupienia własnych grzechów i wykupienia się w łaski nowych panów - postanowili widocznie przekazać nas w całości wkraczającym hitlerowcom. Wniosek: nie ma chwili do stracenia! Wyważać drzwi i kraty! Za bramę! Na w o l n o ś ć ! To postanowienie, jak pożar, objęło całe więzienie.

Stolik schwycony czterema parami rąk trzasnął w zamknięte drzwi. Przygotowani byliśmy na wiele uderzeń. Nieoczekiwanie dla wszystkich, wystarczyło jednego. Zmurszałe mury puściły zawiasy i drzwi upadły na cementową posadzkę korytarza. Łoskot padających drzwi zagłuszony został nieprzerwanym grzmotem, wstrząsającym już całym więzieniem.

Wskoczyłem na okno, by raz jeszcze zobaczyć, co dzieje się na podwórzu. Było zupełnie puste. Za dwoma strażnikami zatrzasnęła się właśnie furta.

Wciąż nie mogę sobie uświadomić, kiedy i jak obalono kolejne kraty odgradzające korytarze, ~~ka~~ jak zbiegłem po schodach i znalazłem się na podwórzu.

Cały dziesiąty pawilon, szpital i wszystko co znalazło się na opustoszałym dziedzińcu więzienia, skierowało się pod okna celi Nr 12 gdzie był tow.K. Nasze tłumne ukazanie się wywołało u towarzyszy z tej celi gwałtowne próby wywalenia drzwi.

Te nie ustępowały. Inni sosnową ławą poczęli szturmować kraty okienne. Uległy. Za wypadającymi kratami wyskakiwali towarzysze.

K.stał i ani zachęcał ani powstrzymywał. W tej pozie widzę go do dziś. Jeszcze tu i ówdzie rozlegał się odosobniony łomot. To cele, których zamki nie dawały tak łatwo za wygraną. Tam biegli już współwięźniowie z pomocą. Ostatnią, która utorowała sobie drogę z celi na podwórze była cela w której siedział tow.M.

Wkrótce na dziedzińcu zgromadzili się wszyscy więźniowie. Polityczni i kryminalni. Łatwo ich teraz można było odróżnić.

Polityczni - przeważnie w trepach, w więziennych kurtkach i myckach lub z odkrytą głową.

Kryminalni - w ubraniach cywilnych, pomiętych, wiejących stęchlizną i śmierdzących naftaliną.

Pochodziły z dopiero do dokonanego rabunku magazynów depozytowych.

Niektórzy z towarzyszy rozpoznawali na kryminalnych swoje cywilne ubrania. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Nie w cywilnym ubraniu, lecz w mundurze wojskowym widział już siebie każdy z nas.

Ale wydostanie się za bramę okazało się nie takie proste. Nie pomogły zgromadzone narzędzia w postaci łomów, siekier i młotków. Wreszcie zwrócono uwagę na ciężką drabinę strażacką, porzuconą przez kogoś, kto nie ukończył wczoraj zakładania zaciemnionych świateł. Podjęły ją dziesiątki ramion i jak taranem poczęto bić w bramę wychodzącą na Brdę. Po kilku uderzeniach dziedziniec opróżniał się. Więźniowie spływali potokiem przez szeroką czelusć muru. "Cywile" unosząc zapach stęchlizny i naftaliny rozbiegali się we wszystkich kierunkach. Szara, bezładna kilkuset-osobowa kolumna byłych więźniów politycznych kierowała się w stronę Bydgoszczy.

Więzienie pozostawało z tyłu. Po przekroczeniu mostu na Brdzie znikło zupełnie z oczu.

- W o l n o ś ć !

- W o l n o ś ć ? !

Czyżby o wolności świadczyć miała bombą zmiążdżona furmanka przy drodze i rozrzucone wokoło krwawe strzępy ludzkie? A może leżący opodal na wznak żołnierz, szklanymi oczyma wpatrzony w pogod-  
ne niebo?

Z więzienia wkroczyliśmy nie w objęcia wolności, a w otchłań niewoli.

Była to t r a g i c z n a w o l n o ś ć !

Silne podniecenie narzuciło w pierwszych godzinach szybkie tempo marszu. Jednak lata spędzone za kratami, wielu chorych, którzy o własnych siłach nie mogliby iść dalej, niestosowne obuwie kaleczące nogi, odurzające powietrze z sosnowych borów - wszystko to po krótkim czasie spowodowało zahamowanie tempa.

Kolumna rozciągnęła się na wielkiej przestrzeni nieuzasadnio-  
nej już nawet bezpieczeństwem przed nalotami.

N o c . Kilkanaście kilometrów przed Bydgoszczą napotykamy większą ilość wojska. Piechota. Zatrzymujemy się w oczekiwaniu na podciągnięcie pozostałych towarzyszy. Nasz widok nie sprawia na żołnierzach specjalnego wrażenia. Nie wiadomo, czy przyczyną tego jest spowijający nas mrok i lekko unosząca się mgła, czy też to, że ludzie ci doświadczyli dziś wielu silniejszych wrażeń.



Dopiero liczne nadciąganie dziwnych postaci wywołuje pewne zainteresowanie, które gwałtownie wzrasta w miarę jak obecni dowiadują się, że to są komuniści.

Przemieszkały się wojskowe mundury i więzienne ubrania. Jeden z oficerów wyjaśnia nam dokładnie gdzie mamy szukać w Bydgoszczy jednostki, w której mieści się punkt werbunkowy.

Odchodzimy życzliwie żegnani przez oficerów i żołnierzy. Ich postawa, liczne głbsy:

- Hitler dalej nie przejdzie!

- Wykurzimy go!

wlewają w nas nowe siły. Maszerujemy dalej zwartą grupą. Trupiosine światła żarówek. To już Bydgoszcz.

Przed północą wchodzimy na teren punktu werbunkowego, mieszczącego się w koszarach z trzech stron otoczonych lasem.

Dyżurny oficer - porucznik - po poinformowaniu go kim jesteśmy i z czym przychodzimy rozlokowuje nas na noc i już typuje kandydatów do służby w swojej kompanii. - Niech pan przed komisją - mówi mi na dobranoc - odrazu powie, że chce pan służyć w kompanii - tu podaź numer. - Ja jestem jej dowódcą.

Gdzieś opodal pogwizdywały parowozy. Słychać było ostre jak wystrzały karabinowe kłaśnięcia rozładowywanych desek.

Zasnąłem z myślą, że jednak o oficerach nie zawsze mieliśmy właściwe mniemanie.

Rano, w towarzystwie kilku oficerów w tym znanego nam już porucznika, odwiedził nas major - komendant punktu werbunkowego. Że jesteśmy komunistami musiał już wiedzieć. Świadczyło o tym wyraźne zakłopotanie wyryte na jego twarzy i nie poruszanie tego tematu.

Rozpytywał o wyroki.

Przy liczbach: 5, 8, 10, 12, - milcząco kiwał głową. W końcu oświadczył

- Z czymś podobnym spotykam się po raz pierwszy. Wybaczenie, panowie, ale w tym wypadku sam podjąć decyzji nie jestem w stanie. Odszedł, by się naradzić z przełożonymi.

Po kilku godzinach poradził nam byśmy szli do Włocławka, dokąd przenosi się punkt werbunkowy i tam być może uwzględni się nasze żądanie wcielenia do wojska.

Porucznik odwrócił się nie śmiać nam patrzeć w oczy.

Z tą chwilą komuna więźniów politycznych z Koronowa ostatecznie przestała istnieć.

Teraz każdy mógł iść w wybranym przez siebie kierunku.

Nazajutrz o świcie w pięciu - mając pod opieką jednego ciężko chorego na gruźlicę - opuszczaliśmy Bydgoszcz.

Za nami pozostał dzień znany dziś pod nazwą "Krwawa niedziela", a przed nami otwarło się piekło - bo tak tylko można określić to wszystko, co działo się wówczas na drodze z Bydgoszczy do Inowrocławia.